Nr. 20. Lwów, 15 października 1899. Rok XXII.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Polowanie w Perehińsku.

Podkamień, w październiku.

Korzystając z łaskawego zaproszenia hr. Andrzeja Potockiego byłem w tym roku szczęśliwym uczestnikiem łowów podczas rykowiska jeleni w Perehińsku i Jasieniu. Zbytecznem byłoby mówić, żem z tej wyprawy powrócił zachwycony, oczarowany.

Najświetniejsze były to bez zaprzeczenia łowy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek odbyłem, najbardziej wzruszające chwile, jakich kiedykolwiek w mojem życiu myśliwskiem zaznałem, słowem, było to urzeczywistnieniem snu, którego spełnienia nie śmiałem się nigdy spodziewać, był to najpiękniejszy promyk zachodzącego słońca na widnokręgu starego myśliwca, bliskiego kresu swego zawodu. — Już od pół wieku blisko polując często w karpackich górach, przekonałem się, jaką przed laty jeleń tu bywał rzadkością. — Olbrzymie obszary gór, należących przeważnie do kamery — przez straż tamtejszą w niegodziwy sposób bywały pustoszone. Każdy prawie leśniczy, czy gajowy, z psami uganiał się za jeleniami, które niejako uważał za wrogów i za wyjęte z pod wszelkiego prawa ofiary, nie bacząc ani na porę roku, ani na płeć. — Pod wpływem tego systematycznego wyniszczenia, którego nieraz byłem świadkiem, napisałem przed laty do *Łowca* wierszyk: „Rykowisko“, w którym przepowiadałem zupełną zagładę karpackim jeleniom, tak jak ją przepowiadają żubrom w Białowieży. -- Na szczęście — byłem fałszywym prorokiem, bo nie przeczuwałem przyszłości Perehińska i Jasienia.

Te rewiry, przed laty zadzierżawione przez śp. hr. Artura Potockiego, a dziś będące w rękach jego brata Andrzeja, otoczone wzorową opieką, strzeżone przez

liczne zastępy pilnej, łowieckiej straży, stały się owym matecznikiem, w którym jelenie do niesłychanej doszły rozmnoży, mając bezpieczne schronisko w tej istnej górskiej oazie; i temu przeważnie zawdzięczyć należy, że ta szlachetna zwierzyna, w bycie swoim tak srogo zagrożona, rozbiegła się w ostatnich czasach tak obficie po naszych Stryjskich górach i podgórzu. Stopniowo wzrastający tam z każdym rokiem stan jeleni, uczestnikom tamtejszych łowów, tę już sprawiał rozkosz, że n. p. w roku zeszłym padło ich na rykowisku z kilku strzelb 35, a dziś na przestrzeni tych wydzierżawionych przez hr. Andrzeja Potockiego rewirów, na obszarze około 170.000 morgów, śmiało około 1000 sztuk liczyć można.

Tegoroczna wyprawa niemniej była świetną, pomimo tego, iż dla przyczyn atmosferycznych rykowisko było znacznie spóźnione. — Już 17 września, w czarownej górskiej dolinie, nad szumiącą Łomnicą położony pałacyk w Kuźmińcu koło Podlutego, z najwykwintniejszym komfortem urządzony, powitał w swych ścianach nasze szczupłe myśliwskie grono, składające się jeszcze prócz gospodarza z książąt Stefana i Kazimierza Lubomirskich, hrabiego Ordynata Maurycego i hrabiego Tomasza Zamoyskich.

Wieczorem zaraz poobiedzie, istna armia objezdników i strzelców, stale tam przez hr. Andrzeja utrzymywanych, przybyła z raportem do swego pryncypała. Już te same raporta spowodowały silne bicia serc w naszych piersiach i wygnały sen z naszych powiek na noc przyszłą. — Wszakże tu niema jednej góry, na którejby nie ryczało kilka rogaczy! — A wiedzieliśmy dobrze z jaką dokładnością ta straż, kierowana od dawna ręką tak znakomitego łowca, podobne raporty składa. — Niestety! wszyscy jednogłośnie oświadczyli, że jelenie jeszcze słabo ryczą. — Po wysłuchaniu tych raportów, gospodarz porozdzielał role pomiędzy myśliwych, przeznaczając każdemu rewir do opolowania. Do tej pracy miał on tu w istocie do rozporządzenia pierwszorzędne artystyczne siły, bo dość odczytać listę uczestniczących myśliwych, ażeby przyjść do przekonania, że się tu ma do czynienia z zastępem pierwszych może w Polsce strzelców. Jakżeż ja się czułem małym i upokorzonym, dziś — z ręką już drżącą i z wzrokiem przez wiek osłabionym pośród takiego zastępu!

Cały obszar Perchińskich i Jasieńskich gór podzielony jest na myśliwskie rewiry; w każdym znajduje się koleba, lub nawet miniaturowy zameczek myśliwski, starannie zbudowany, a wszędzie porobiono płaje, tak iż dostęp jest strzelcowi umożliwiony do każdego szczytu. Ale wyobrażać sobie nie należy, ażeby ten dostęp był zbyt łatwym. — Nie — ażeby polować w tych górach, nadzwyczaj stromych, pełnych łomów, kamieni, maliniaków i kosodrzewiny, potrzebne są nogi stalowe i płuca kauczukowe.

Nazajutrz, po przebyciu nocy bezsennej, (bo przecież, w wilję takiego polowania myśliwy spać nie może), udaliśmy się wszyscy, każdy z osobna, z dodaną mu służbą, do przeznaczonego sobie koczowiska. — Po trzech, ewentualnie czterech dniach, znów ogólne zebranie w głównej kwaterze w Kuźmińcu i tam krótki wypoczynek. — Mnie w udziale na te pierwsze dni przypadły do opolowania góry Jawornik, Czuta i Swynne. Przewodnikiem moim i aniołem-stróżem był góral Petro Kraiło, który przed laty był tu przewodnikiem Arcyksięcia Rudolfa, za życia śp. Artura.

Prócz tego miałem mego strzelca i pięciu górali do usługi. Koleba moja stała na połoninie, zkąd widny cudowny krajobraz, tuż obok szumiał górski potok, który mi dostarczał wybornej wody do picia i kąpieli.

Dostałem się tu częścią konno, częścią pieszo. — Ta kuleba, to istne pieścidełko; z krąglaków zbudowana, a tak pełna komfortu, że w niej chyba tylko jeszcze fortepianu brakowało — ażeby była wykwintnym salonem. — Obok wznosiła się druga koleba większa, z ogniskiem po środku; tam koczowali moi górale. Jakżeż mi tam dobrze było! — Smaczny obiad przynoszono co dzień z głównej kwatery z Kuźmińca, choć to kilka godzin chodu, ale żaden góral nie zna odległości ani znużenia. — Przynoszono też i dzienniki, których oczywiście nigdy nie czytałem, bo byłbym uważał za zniewagę dla tej górskiej ciszy, i tych czarownych widoków, gdybym zaprzątał moją myśl i uwagę sprawami gabinetu Cis i Trans-Litawii, albo procesem Dreyfusa. — Codziennie wieczorem z każdej koleby odchodził kuryer do głównej kwatery w Kuźmińcu, z raportem, który każdy z nas o sobie podawał, troskliwemu o los swoich gości gospodarzowi i te wszystkie raporty odnosił inny, oczekujący tam kuryer do kuleby hr. Andrzeja, z większą pewnie akuratnością i pospiechem, niż posłańcy z telegramami u nas na prowincyi. Drugą kartkę wysyłano do zarządu w głównej kwaterze, gdy się miało jakieś desideria. Ale czegoż tu można było jeszcze zapotrzebować? Moje kartki zawsze białe odchodziły do Kuźmińca. — Tam oczekiwał też zawsze wezwania strzelec z psiarnią prześlicznych tropowców rasy hanowerskiej, dla pościgu postrzelonego jelenia. — Trudno sobie wyrobić wyobrażenie dokładne tak wzorowej ze wszech miar organizacyi myśliwskiej pośród dzikich gór. — W zachwyt wprowadzić musi każdego spryt, wytrwałość i przychylność tych poczciwych tutejszych górali i ścisłość w wypełnianiu powierzonych im obowiązków. — Prawda, że hojną ręką dzierżawcy dawnego i teraźniejszego między nich sypane dary, dobrodziejstwem były niemałem dla tutejszej ubogiej ludności, ale też to ziarno nie spadło na niewdzięczną rolę, — i góral tutejszy dziś jeszcze ze łzą w oku wymawia imię śp. Artura, a teraz Andrzeja nazywa swoją opatrznością — i gotów za niego skoczyć w ogień. — Nieocenionym skarbem są też tu owe, zresztą niepokaźne z pozoru, koniki huculskie. Czy spinać się po skałach pod niebotyczne szczyty, czy przechodzić przez najgłębsze zwory, czy przejść po kładce nad przepaścią — jego pewna noga nigdy nie zawiedzie, nie utknie, ani nie wpadnie — byle się tylko całkowicie oddać jego pieczy i wcale nim nie kierować. Zawsze utrzymywałem, że koń huculski w górach mądrzejszym bywa, niż nie jeden wielki polityk na równinie. — Patrząc na pewność chodu tych koni, zarumieniéby się powinny nieraz nasze angielskie i arabskie folbluty.

Nakreśliwszy tak pobieżnie ramy tego cudownego obrazu — przystępuję teraz do obrazu samego, to jest do polowania. Rezultat pierwszych dni był słaby — gdyż, jak mówiłem, rykowisko nie było jeszcze rozpoczęte. — Niestety! smutny obowiązek przerwał nam

pasmo tych pięknych dni. Pogrzeb śp. Włodzimierza Dzieduszyckiego w Zarzeczu, spowodował mnie i hr. Andrzeja do wyjazdu. Trzy dni zajęła nam ta sprawa, a właśnie wtedy dopiero rykowisko się ustaliło. — Po powrocie z Zarzecza na cztery dni jeszcze wybrałem się w góry — i dostałem w udziale rewir Kotelec z górami Pleszczata, Grafa, Menczul, gdzie mi też nieustająca orkiestra, składająca się z kilkunastu jeleni, dzień i noc przygrywała. — Kto nie podchodził w Karpatach naszego olbrzyma jelenia — górala, tak niepodobnego do jego braci na równinach, ten nie zaznał z pewnością najwyższej myśliwskiej rozkoszy! — W Kuźmińcu, na ostatnim ogólnym zjeździe, uszczęśliwione grono myśliwych, wśród wesołości do późnej nocy nie ustawało w opowiadaniu przebytych przygód i odniesionych wrażeń. Rozmowom tym przysłuchiwało się też czternaście par wspaniałych rogów dotąd ubitych jeleni, stojących wiankiem pod ścianami jadalnej sali. Był tam jeden jedyny tylko ósmak — zresztą dziesiątaki, dwunastaki, czternastak i szesnastak. — Chociaż wcale w tem niekrępowani przez naszego pryncypała — wszyscy myśliwi zgodnie postanowili, nie strzelać niżej ósmaka. Wspaniały to rozkład i bez wątpienia będzie jeszcze bogatszym, ale ja, niestety! oglądać go już nie będę. O dalszych losach wyprawy może inne pióro zawiadomi szanownych czytelników *Łowca*. — Do wstrząsających przygód zaliczyć można wypadek hr. Tomasza Zamoyskiego, wypadek, którego w istocie wynik mógł być tragicznym. Podchodząc jelenia wraz ze swoimi strzelcami hrabia spotkał kłusownika w stroju węgierskim, któremu jego zakarpacka kraina widocznie za szczupłą się wydawała do wykonywania swego szlachetnego rzemiosła — i jelenie północnego stoku Karpat widocznie go znęciły. — Napadnięty przez północno-karpackich strzelców — południowo-karpacki kłusownik strzelił do swoich prześladowców — ale — Bogu dzięki — święty Hubert przed ciosem ich osłonił i kulę jego osadził szczęśliwie gdzieś w jodle. — Pogoń za zbrodniarzem nie odniosła żadnego skutku — gdyż uciekając przez skały i łomy z chyżością jelenia, znikł z przed oczu goniących za nim strzelców — aż gdzieś w krainie Arpada.

Drugie ciekawe było wydarzenie hr. Tomasza Zamoyskiego. Również podchodząc jelenia około południa usłyszał telękanie głuszca, który widocznie dnia tego nie zaglądał do kalendarza, ani nie spoglądał na zegarek. Wyspiewywał teraz we wrześniu, w samo południe, pieśń swoją miłosną, jakby w kwietniu lub maju o godzinie 3ciej z rana. W podskokach — wciąż wśród bijącej pieśni, zszedł go szczęśliwie myśliwy i celnym strzałem kulą strącił z jodły wierzchołka.

Najwspanialsze, dotąd zdobyte rogi, są czternastaka, ubitego przez hr. Andrzeja — odznaczają się niezwykłą grubością. Co do mnie, dzięki składam opiece św. Huberta, że byłem szczęśliwym zdobywcą jedynego dotąd ubitego szesnastaka. Strzelony na kroków 111 padł na miejscu od ekspressowej kuli. — Wielka ilość niedźwiedzi ukazała się w tym roku w górach — kilku naszych towarzyszy miało nawet z nimi spotkanie, ale niestety — nigdy na strzał możliwy — a objezdnicy spotykali się z nimi niemal codziennie. Wszystko ma swój kres na świecie! — Słońce piękne — a zachodzi! tak też — po owych czterech dniach zaszło i to najpiękniejsze słońce mego myśliwskiego życia. Zmuszony do powrotu — z wdzięcznością uścisnąłem dłonie na pożegnanie naszego gospodarza i tych niezrównanych towarzyszy łowów — pożegnałem tę wzorową już nie szkołę, ale istną akademię łowiectwa polskiego i ze sercem ściśnionem ostatnie rzuciłem spojrzenie na te góry, z których tyle błogich, niczem niezatartych wspomnień uniosłem.

Leopold hr. Starzeński.

O truciu lisów.

W 18-tym numerze „*Łowca*“, z dnia 15 września rb., szanowny autor artykułu „Polowań z nagonką“, w ustępie; „o polowaniu na lisa“ — zaznaczył między innemi, że przy truciu lisów, „na 10 sztuk zaledwie jeden rozgryza gałkę i to młody, niedoświadczony....“

Ażeby szanownych czytelników i właścicieli polowania, którym na stanie pożytecznej zwierzyny wiele zależy — nie wprowadzać przez ten ustęp artykułu „Polowań z nagonką“ — w zwątpienie co do skuteczności trucia lisów — poczuwam się do obowiązku podać do szerszej wiadomości przepis robienia witerunku i powłoki.

Nie wiem i nie znam sposobu trucia lisów, którego używał szanowny autor, mogę tylko stanowczo czytelników „*Łowca*“ zapewnić, że przy śnieżnej i mroźnej zimie, w jednej z nocy i na mój sposób trucia, zabiorę wszystkie 10 sztuk lisów, jeżeli tylko każdy z nich przejdzie przez powłokę.

Szanowny autor wspomina dalej, że „częściej trują się lisy, rzadziej zaś liszki, a to z powodu „delikatniejszego czucia.“

Stanowczo twierdzę, że delikatniejsze czucie nie jest w tym wypadku przyczyną, lecz to, że liszka, jako ostrożniejsza, zimą trzyma się lasów, krajów tychże i okolic jam, gdy lis aż do wsi podchodzi. Z powłoką zaś jeździ się zwykle polami, zdala od lasów, przeto i lis, który w tym czasie wszędzie się włóczy, ma większą sposobność przecięcia powłoki, niż liszka, która rzadziej temi miejscami myszkuje.

Jest jednak i na to rada; a mianowicie: pojechać z powłoką przez las, lub gdzie go nie ma — polami, obok jam, a ręczę, że same liszki się strują.

Odmiennie natomiast przedstawia się rzecz z wiosną. Gdy młode lisy już na jamach zabawy odbywają — to wtedy i liszka ustawicznie włóczy się polami, lasami, a nawet do wsi w biały dzień się skrada i wyłapuje drób domowy, młode sarny, zajączki, kuropatwy jak wogóle wszystko, co jej pod zęby wpadnie.

W tym więc czasie lis, a względnie liszka najwięcej w zwierzostanie szkody czyni. Trudno bowiem przypuszczać, by do zabawy 4. do 6. młodym lisom — wystarczyła wychudzona mysz polna. Młoda generacya potrzebuje do swych harców większej sztuki, którą rozrywa między siebie, a matka z lubością temu się przygląda.

Jestem zdania, pomimo wyrażonych rozmaitych zapatrywań, że każdemu myśliwemu na wytępieniu lisów zależeć powinno, a na dowód tego przytoczę fakt z własnego doświadczenia.

W okolicy, w której od lat 5 mieszkam — w pierwszym roku mego pobytu — zająca i kuropatw — śladu nie było! Obecnie jest 6 stadek kuropatw, a przy polowaniach na ptactwo, w roku bieżącym — pies legawy wystawiał mi za każdym razem — najmniej 10 sztuk zajęcy. Nic dziwnego, bo w tym przeciągu czasu strułem przeszło 50 lisów. Innych szkodników systematycznie dotychczas nie niszczyłem.

Niedostateczną jest tedy rzeczą — kazać wywozić do lasu karmę dla sarn i zajęcy, a na polach pozostawiać wolne od uprawy miejsca (remizy) i karmić kuropatwy. Potrzeba przy tem wszystkiem i przedewszystkiem tępić lisy!

W Czechach i Niemczech — lisa na lekarstwo nie znajdzie, ale za to zajęcy i kuropatw wbród, a prawie wszystkie kuropatwy i po największej części zające, które widzimy u nas po handlach — są z zagranicy importowane.

A teraz do właściwej treści niniejszego artykułu.

Jak wogóle wszystko na świecie jest lepsze i gorsze — tak samo trucie lisów — nie jest truciu równe. Z odpowiednim skutkiem potrafi truć tylko prawdziwy i wytrawny myśliwy, znający przytem dokładnie, że się tak wyrażę, „psychologię“ lisa i wreszcie okolicę, w której zamierza gałki zakładać.

Jakkolwiek rodzaju tego polowania, a względnie tępienia lisów — nie można wcale sportem nazwać — to ze względu na dodatnie rezultaty, jakie się zyskuje przez trucie lisów — winien każdy właściciel polowania, choć może go chętka do tego nie zbierze — przynajmniej raz spróbować, a potem kogoś przyuczyć i dalej ten sposób niszczenia największego szkodnika kontynuować.

Zwykłej jednak służbie leśnej nie należy tej czynności powierzać; gdyż łatwo może zdarzyć się wypadek otrucia przez nieumiejętne obchodzenie się ze strychniną.

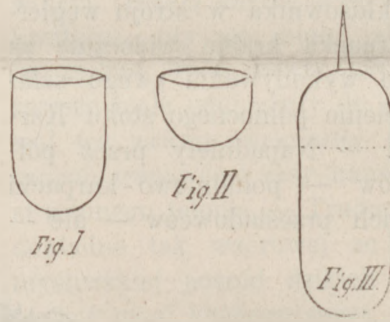
Pokój, w którym ze strychniną ma się do czynienia — winien być możliwie izolowany od reszty ubikacyi i podczas czynności z tą zabójczą trucizną — najlepiej zamknąć się na klucz i nikogo nie wpuszczać.

Strychnina winna być „*nitricum*“, a dostać ją można za okazaniem, lub przesłaniem certyfikatu właściwego ck. Starostwa w specyalnych fabrykach chemikaljów, jak np. Dr. Theodor Schuchardt, Chemische-Fabrik, Görlitz (Niemcy), gdzie gram strychniny-nitricum — nie wypadnie więcej niż 6 ct., wraz z przesyłką pocztową; 50 gramów zaś wystarczy na 3 do 4 lata.

Strychnina taka przychodzi z fabryki skrystalizowana w igiełki, przeto do użytku na lisy — potrzeba ją utrzeć na proszek miałki, gdyż jako taka prędzej w pysku lisa rozpuszcza się i tem samem szybciej działa. Rozcierać należy w moździerzu aptekarskim i na stole, ze względów ostrożności, nie powinny się znajdować żadne inne przedmioty. Również należy podczas tej czynności, jak wogóle przy nasypywaniu gałek strychniną — usta i nos podwiązać chustką.

Gałki, do których wsypuje się strychnina — wylewa się z wosku pszczelniczego białego i destylowanego, którego w każdej aptece nabyć można. Wosk taki rozpuszcza się w stosownem naczyniu, poczem gładki, na końcu zaokrąglony wałeczek, o średnicy 1 ctm. osmarowuje się masłem, by wosk nie przylepił się i zanurza się po kilka razy w tej masie woskowej — dopóki na wałeczku nie utworzy się dostatecznej grubości powłoka zastygniętego wosku.

Na 2 ctm. od końca gałeczki okrawuje się następnie powłokę woskową i lekko zsuwa się już gotową kapsułkę, do której strychnina ma się wsypać. W ten sam sposób robi się dalej drugą połowę kapsułki tj. wierzchnią część. Co do tej części — to wystarczy, jeżeli będzie miała 1 ctm. długości. Napełnioną kapsułkę strychniną jak fig I, przykrywa się drugą mniejszą kapsułką fig II, i rozgrzanym nad lampą scyzorykiem obciąga się w miejscach zetknięcia obydwu połówek, by się skleiły z sobą. Fig III przedstawia już gotową kapsułkę, w której w jednym z końców osadza się cierń tarniowy na to, ażeby lis gałkę rozgryzł a nie połknął. Zanim bowiem połkniętą gałkę lis strawi — upływa wiele czasu, zajść przeto może zadaleko zanim zginie — czem utrudnia znalezienie go, a często zupełnie je udaremnia.



Kapsułki z trucizną.

A teraz podam opis sporządzania witerunku:

Cztery do pięć łyżek masła świeżego, niesolonego, sklarowanego, praży się w rynce na wolnym ogniu z jedną białą cebulą na miazgę usiekaną. Gdy cebula przybierze lekki kolor pomarańczowy — dodaje się czubatą łyżeczkę od kawy miodu z patoki.

Miód rozpuści się — wtedy daje się trzy do czterech łyżek drobno usiekanej i wyżyłowanej wątroby bydlęcej. Gdy wątroba zbieleje — trze się w rękach chleb żytni, razowy, trochę czerstwy tak długo — dopokąd nie utworzy się pasta zdolna do oblepiania gałki. Można w końcu dodać do tego wszystkiego trochę anyżowego olejku — lecz nie koniecznie.

Przez cały czas smażenia tego pasztetu — należy ciągle mięszać, by się nic nie przypaliło i wszystko uskuteczniać w nowych, kamiennych, lub polewanych naczyniach. Cebulę i wątrobę należy siekać na ohyblowanych dwu deszczułkach, osobno.



Jesienny ranek.

Jak zatem widzimy — powyższy sposób przyrządzania witerunku jest nadzwyczaj prosty. Jest on zawsze dla lisa znakomitym przysmakiem, którego pokosztuje zawsze, choćby po najsutszej uczcie.

Mając tedy gotowy witerunek — oblepiamy dokładnie gałkę napełnioną już strychniną, by tylko mały koniec ciernia tarniowego wystawał. Czynność tę należy uskuteczniać w nowych rękawiczkach niciciany ch — przedtem odwietrzonych. Gotowe, oblepione gałki składa się do słoika odwietrzonego, poczem zawiązuje go papierem. Tej samej formy robi się z witerunku tak zwane gałki ślepe, bez strychniny i z wosku wylewanych kapsułek, na zachętę i również wkłada się do drugiego odwietrzonego słoika.

Witerunek do oblepiania gałek nabiera się łyżeczką srebrną, odwietrzoną — a po skończonej czynności należy szczelnie rynkę owiązać papierem i cały ten preparat na zimnie przechowywać, np. za oknem. Zrobiona bowiem ilość witerunku, wedle powyższego przepisu — wystarczy na całą zimę.

Najnieprzyjemniejszą czynnością jest przyrządzanie powłoki. Tłustego kota dusi się, poczem zdejmuje się delikatnie skórkę, nadkrawując między tylnemi nóżkami i uważa się, by mięsa nie nadkroić i żeby krew nie uszła.

W ten sposób oporządzonego „amorka“, lub innego nazwiska przyjaciela starszego rodu niewieściego — nadziewa się następnie na rożen, tj. na zwykły prosty patyk, najlepiej leszczynowy i owiązuje go się sznurkiem, jak salami, naciągnąwszy łapki przednie i tylne. Teraz wdziewa się napowrot na kota skórkę, włosem na zewnątrz i uważa się, by mięso z pod skórki nie wystawało. Ubranego w własne futerko „amorka“ wkłada się do końskiego nawozu — na 12 godzin, poczem wyjąwszy z tej parni kocisko, zdejmuje się ponownie skórkę i teraz dopiero widzimy, a względnie czujemy — dlaczego sznurkiem „amorka“ owiązywaliśmy. Poczciwy „amorek“ spuchł straszliwie i gdyby nie bandaż ze sznurka — pękłby biedaczysko z rozpaczy.

W ten sposób otrzymaliśmy sztucznym sposobem padlinę, która jest niezrównaną powłoką i lisa, gdzie chcemy, sprowadzi.

Przed wyjazdem na lisy — powłokę przypieka się na węglach, (byle nie przydymić), owija się następnie w papier i dalej na pola.... Kot taki wystarczy na kilka razy, zawsze jednak przed wyjazdem potrzeba przypiec go na węglach.

Za saniami ciągnie się powłokę środkiem sannic (kopanic) i podczas tej czynności nie należy złazić ani pluć na ziemię. Od czasu do czasu kładzie się gałki ślepe tak, by na jedną gałkę ze strychniną wypadły przedtem dwie ślepe Gdy mamy zatem zamiar założyć 10 gałek pełnych — trzeba 20 ślepych mniej więcej porzucać. Gałki tak ślepe, jak pełne należy kłaść na trop powłoki i miejsce, w którem została gałka pełna porzuconą, musi się naznaczyć. Znak winien być pozostawiony na zewnętrznej stronie śladu sań. Znaczyć można także gałązką jałowca, sośniny itp. Ja zwykle gałązkami znaczę. Gałki ślepe i pełne wybiera się ze słoików odwietrzoną łyżką, najlepiej drewnianą, przyczem uważać należy, by tylko trzonka dotykać. W tym celu trzyma się łyżkę owiniętą w czysty arkusz papieru. Następnego dnia rano gałki nie rozgryzione należy wyzbierać łyżką do słoika, mogą one bowiem dalej służbę pełnić.

A więc to cała tajemnica, z którą chętnie dzielę się z czytelnikami „*Łowca*“, a w szczególności z Szan. autorem „Polowań z nagonką“ i proszę usilnie spróbować tego sposobu, za którego skutek ręczę. W razie jakiejś wątpliwości chętnie udzielę wyjaśnień.

Przepis ten nie jest moim wynalazkiem; dostałem go przed paru laty od starego i wytrawnego myśliwego, p. Kazimierza Pańkowskiego, profesora szkoły rolniczej w Dublanach, który nie mało w swoim czasie lisów natruł, a i ja też nie jednej okolicy w ten sposób zasłużyłem się.

W końcu nie będzie od rzeczy nadmienić, iż przy ściąganiu skórek z lisów należy pewną ostrożność zachować przy ściąganiu skórki z głowy, by się nieskaleczyć.

Co się zaś tyczy poszukiwań za strutymi lisami, to jest ono zwykle łatwe, bo lis leży niedaleko miejsca, na którem zgryzł gałkę. Zdarzy się jednak czasem, że dłużej za lisem trzeba pochodzić, za nim go się znajdzie. Dzieje się to tylko wtedy — gdy lis był nie głodny.

Strychnina bowiem działa wówczas później i nietak gwałtownie.

Zawsze jednak poznać po tropie lisa, który gałkę rozgryzł. Tropy są znacznie większe z tego powodu, że strychnina powoduje skurcz nerwów — rozpiera palce u nóg i lis wtedy robi tropy, jakby dwa lisy przeszły. Na pewno zaś można lisa się spodziewać, gdy się przychodzi do tropów, z których widać, że lis szedł już w podskokach.

Artur Ślaski.



Wskazówki dla mających zamiar sprowadzić zające do rozpłodu.

Ciąg dalszy.

W „Wiener Jagdzeitung" z r. 1873 zdaje Hartung sprawę z wyników założonych przez niego zajęczarni: „Rezultaty założonych przezemnie zajęczarni przedstawiają się w ten sposób, że połowę jako udałą, czwartą część jako zadowalniającą, a resztę jako nieudałą uważać należy. Nie udały się zajęczarnie szczególnie tam, gdzie nie trzymano się skrupulatnie moich przepisów, a szczególnie, gdzie nie uważano na jedynie odpowiedni stosunek płci do siebie jak 1 : 5, t. j. pięć samic do jednego gacha, lub gdzie zające gwałtownie do ogrodu zostały wpędzone. W pierwszym wypadku mnożenie się nie odbywało w pożądanej ilości, w drugim zaś wypadku zające były tak przestraszone, że uszkadzały się przez ustawiczne bieganie, podczas gdy pojedynczo wpuszczane zające, daleko łatwiej się uspokajają. Nawet tam, gdzie tych błędów nie popełniono, nie odpowiedział czasem rezultat oczekiwaniom i zrobiłem w tym względzie następujące spostrzeżenia i doświadczenia. Naturalnie nie są one już ostatecznie wyczerpane, mogę jednak ogłosić uwagi, jakie mi się nasunęły z porównania tylu przezemnie założonych zajęczarni.

„Padanie zajęcy w ogrodach, należycie zresztą pielęgnowanych, nie pochodzi z właściwości niekorzystnej gruntu lub klimatu, gdyż zdarzało się, iż w jednym ogródku wszystkie zające (około 50) w przeciągu dni 14 padły, podczas gdy w innym do tego samego właściciela należącym nieopodal położonym, wszystkie zdrowo się chowały. Ponieważ egzystują rośliny dla zajęcy stanowczo szkodliwe, przyszedłem do przekonania, że przyczyny śmiertelności w pożywieniu szukać należy. Na wolności, gdzie zające najstosowniejszą dla siebie karmę dowolnie sobie wyszukiwać mogą, już sam instynkt powstrzymuje je od spasania szkodliwych roślin, zresztą wiele ruchu paraliżuje może szkodliwy wpływ tych roślin na organizm.

„W zajęczarni powinniśmy się więc przedewszystkiem o to starać, aby dostarczać zającom jak najróżnorodniejszego żeru, by one nie były zmuszone spasać tych ziół i krzewów, które są im szkodliwe i nie używać ich do remiz. Wykazu roślin stosownych na żer dla zajęcy nie podaję obecnie dla tego, że nie uważam doświadczeń moich za skończone, powtóre za dalekoby nas szczegółowe wyliczanie zaprowadziło. Tak n. p. żyto i owies, które jako ruń są znakomitym dla zajęcy żerem, stają się szkodliwemi, gdy źdźbła ich dostaną kolanek, a obok koniczyna, trawa, rozmaite korzenie i t. d. nie rosną. I z innym żerem ma się rzecz podobnie. Zasadą jest, w ogródku wszystkie przez zające spasane rośliny uprawiać w jak najliczniejszej rozmaitości, aby one dowolnie, jak na wolności, wybierać mogły te, które im służą.

„Przechodzę do doświadczeń moich, tyczących się wielkości zajęczarni i znajduję, że podana przezemnie pierwotnie wielkość trzech morgów jest najodpowiedniejszą. Na tej przestrzeni można wyprodukować potrzebną karmę dla 10 samic i 2 gachów wraz z jednorocznym przychówkiem i dadzą się zające, celem sortowania, z uniknięciem zbyt wielkiego niepokojenia i uszkodzeń, wyłapać. Zbyt wielka przestrzeń zajęczarni nastręcza tyle trudności, iż rzadko można dokonać czynności łapania zajęcy bez uszkodzenia takowych. Radzę tedy tym panom, którym trzymorgowa zajęczarnia nie wystarcza, aby ich dwie założyli, zawsze jednak trzy-morgowy ogródek wystarczy na rewir 2000-morgowy. Co się tyczy ogrodzenia zajęczarni, przyszedłem do przekonania, że podana pierwotnie wysokość $6^{1}/_{2}$ stóp nie jest wystarczającą, zdarzało się bowiem, że zające przez taki płot przeskakiwały. Radzę więc płot 8 stopowy. Przekonałem się również, że nie koniecznie musi być ogrodzenie parkanowe z desek lub z tyk prostopadle plecione, lecz że zwykły płot najtańszy, dobrze zacierniony jest dostateczny, skoro tylko dobrze pleciony i łapki są w porządku. Co do łapek, to okazały się one o tyle praktycznemi, iż w wielu miejscowościach złapano bardzo wiele tchórzów, łasic, kotów, jastrzębi i t. d., nie wystarczają one jednak ze względu na kuny i lisy. Wina leży w łapkach, gdyż wszystkie drapieżce ściągają się ku zajęczarniom i bywają na ścieżkach tropione. Gdyby łapki były odpowiednie, oczyściłoby się całą okolicę z drapieżników. Przyrządy do chwytania zajęcy wymagają również ulepszeń; siecie uważam za gorsze od koszów. Najbliższem mojem staraniem będzie w tych obu kierunkach wprowadzić ulepszenia.

„Trzy-morgowa zajęczarnia z kolonją 10 samic i 2 samców wystarcza, aby rewir 2000-morgowy zapełnić taką liczbą zajęcy, jaka tam bez szkody dla ziemiopłodów wyżyć może. Taką ilością jest 500 sztuk, które do szczętu mogą być wystrzelane, bez wyrządzenia szkody zwierzostanowi na lata przyszłe, gdyż 10 samic w ogródku wychowa 100 młodych, z których połowa będzie samic (?). Tych 50 samic wraz z 10 gachami wypuszcza się w lutym na pola, spotrzebowując pozostałych 40 samców na kuchnię lub targi i można się z pewnością spodziewać, że każda samica na wolności 10 młodych wychowa, wzrośnie tedy stan zajęcy w przeciągu roku do 500 sztuk. Zanotować tu wypada również i tę korzyść, że się oszczędza wiele szkód w ziemiopłodach, gdyż aby się 500 zajęcy bez pomocy ogródka dochować, potrzebaby według doświadczeń starych myśliwych po skończonych polowaniach conajmniej 250 zajęcy pozostawić. Przypuściwszy, że strzelanie z pierwszym grudnia się kończy, to jedzą te pozostałe 250 zajęcy przez cały rok czyli $365 \times 250 = 91{\cdot}250$ dziennych racyi. Do tego trzeba dodać, iż właśnie w zimowych miesiącach najwięcej zawsze jest szkód przez ogryzanie szczepów i leśnych sadzonek i zawsze przybytek jest wątpliwy, gdyż jeśli w pozostałych do rozpłodu zającach więcej jest samców, to trudno, aby do zamierzonej cyfry dojść można było.

Ze zajęczarni wypuszcza się wymienionych 60 zajęcy najwcześniej 1. lutego, jedzą one tedy tylko przez 10 miesięcy czyli 60 × 300 = 18·000 dziennych racyi, a więc o 73 000 mniej, niż na wolności będące i dają większą gwarancyę pomnożenia się zwierzostanu. Prócz tego narażone są zające na wolności na prześladowania rozliczne, szczególnie kłusowników, podczas gdy w zajęczarni dobrze strzeżone wolne są od tej plagi.

„Jako bardzo przyjemny uboczny dochód ze zajęczarni, który gdzieniegdzie głównym stał się dochodem, uważać należy doskonałą sposobność połączenia zajęczarni z bażantarnią. Biorąc ostatecznie na uwagę również niszczenie drapieżników, to korzyść zajęczarni tylko pod tym jednym względem jest tak znaczną, iż opłaci się sowicie, gdyby nawet żadnych innych nie dawała korzyści“.

Na innem miejscu powiada Hartung: „Doradzana przezemnie 3-morgowa wielkość zajęczarni jest dostateczną, jeśli przynajmniej $^1/_8$ morga na koniczynę użytą zostanie, a resztę przeznaczy się pod uprawę rozmaitych zbóż. Udawała się wprawdzie tu i ówdzie hodowla zajęcy i na $^1/_4$-morgowej przestrzeni, nie mogę jednak tego zalecić, gdyż zając sam sobie powinien szukać odpowiadającej mu karmy i każde najmniejsze zaniedbanie w zakładaniu karmy pociąga za sobą ginięcie zajęcy. Zapewne, że lepiej udaje się chów na przestrzeni 6 do 10 morgów, zwiększają się jednak trudności chwytania zajęcy, co dwa razy w roku, celem sortowania, jest potrzebnem. Mimo tego jednak tym panom, którzy nie lękają się znaczniejszych kosztów, zalecam zakładanie 6-morgowych ogrodów, mianowicie zaś wtedy, gdy ze zajęczarnią połączyć chcą chów kuropatw i bażantów, co się znakomicie udaje.

„Chwytania zajęcy w sieci nie mogę zalecać, gdyż w ten sposób zające zanadto się płoszą i zdarzają się często wypadki, iż w siecie schwytane zające albo natychmiast, albo po kilku tygodniach ginęły, podczas gdy w kosze łapane zające nie uszkadzały się wcale. Miejsce na zajęczarnię wybrane powinno mieć położenie ciepłe i znajdować się ma wewnątrz pagórek, celem zabezpieczenia zającom osłony od wiatrów ze wszech stron. Gdyby takiego naturalnego wzniesienia nie było, poradzić sobie można zakładaniem kilku rabatów. Gdy ogródek jest tylko 3-morgowy, musi być koniecznie $^1/_8$ morga przeznaczona na remizę, a pozostałą przestrzeń należy obsiewać rozmaitemi zbożami, tak, aby na tej uprawnej przestrzeni przez cały rok z wyjątkiem zimy, znalazły zające wszystko, co im do pożywienia jest potrzebnem.“ (C. d. n.)

„Pierwsza miłość.“

Wspomnienie myśliwego.

Przez

Alberta Mniszka.

Ciąg dalszy.

Okoliczność tu opisana, zachwiała nasze postanowienia co do dalszego polowania. Żenującem było strzelać bez pozwolenia nieznajomym zresztą sąsiadom, jak to mówią, pod nosem. Staw jednak, jego ustrój, oczerety, spławy, nęciły tak myśliwych do siebie, jak ongi nęciły syreny swym śpiewem Ulissesa. Nie bardzo zapewne muzykalny bohater zwyciężył pokusę, my nie mogliśmy się jej oprzeć i za chwilę wpływaliśmy w oczerety tuż pod tajemniczym dworem leżące. Postanowiliśmy trzymać się blisko siebie. Zaczęły się zrywać kaczki, gęsi, huk, naszych wystrzałów wstrząsnął powietrzem, odbił się o szyby dumnego pałacu, poleciał hen daleko, aż skonał gdzieś w oczeretach i jeziorach stepowych. Kości były rzucone; wracać się nie miało już racyi i sensu, płynęliśmy więc dalej i dalej, strzały nasze grzmiały jak salwy, zwierzyny tyle nie napotkałem nigdzie. Po godzinie takiej tyralierki spostrzegliśmy ze smutkiem, że zapas naszych ładunków ma się ku końcowi. Zresztą i tak czas było wracać, bo była już czwarta a do domu mieliśmy trzy godziny drogi. Przepływając krajem stawu, przybiliśmy do brzegu i wysiedliśmy z czółen, by się trochę wyprostować, a nasi przewoźnicy wyczerpywali wodę z czółen. Wpatrywałem się w klucz ciągnących wysoko cyranek, gdy Stefan trącił mnie w ramię, mówiąc:

„Patrz, idzie ktoś do nas.“

Spojrzałem w stronę wskazaną mi przez przyjaciela. Rzeczywiście szybkim krokiem zbliżał się do nas młody chłopak ze zwieszoną strzelbą na ramieniu, w zgrabnym, myśliwskim garniturze, w słomianym o dużych krysach kapeluszu. Pies legawy kasztanowaty wesoło biegł koło młodego myśliwego, za nim zaś niósł chłopiec wiejski torbę, przy której wisiało kilka zabitych ptaków. My staliśmy zmieszani oczekując spotkania i spodziewając się wymówek; psy tymczasem nasze i nieznajomego poznawać się już zaczęły, zwykłym im zwyczajem dość zresztą przyjaźnie, co za dobrą wróżbę dla nas poczytywaliśmy. Tymczasem młody strzelec zbliżył się do nas tak, że mogliśmy rozpoznać dokładnie jego twarz i całą postać, a na widok tego, cośmy teraz spostrzegli, ogarnęło nas nie dające się opisać osłupienie.

„Czy mógłbym wiedzieć“, — rzekł do nas mniemany młodzieniec, cienkim, metalicznym, ale stano-

wczym głosem, — „kto na mojem terytoryum poluje i kogo mam zaszczyt poznać?"

Gdyby piorun uderzył w tej chwili w pobliżu nas z tego pogodnego nieba, gdyby ten dumny pałac zapadł się w gruzy, nie bylibyśmy się tak zdziwili i zmieszali! Przed nami stała młoda, śliczna dziewczyna w powabnym kostjumie strzeleckim, o zgrabnej, smukłej, lecz wydatnych kształtów kibici, którą okrywał jasny, męski, popielaty tużurek z kołnierzykiem i krawatką, w talii ściśnięty skórzanym paskiem. Od talii zaledwie do kolan spadała szeroka, bogata w fałdy spodniczka, z pod której wyglądały zgrabne nóżki ubrane w obcisłe kamasze z mnóstwem perłowych guziczków i w wysokie sznurowane buciki, w tej chwili mokre i zabłocone. Nad tą wdzięczną kibicią jaśniała o cudnych, złotych włosach główka, mała, na wpół dziecinna, najwyżej lat siedemnastu, piękna i ujmująca. Krótkie, złote pukle wyglądały ze wszystkich stron z pod lekkiego, zdobnego piórkiem słomkowego kapelusza, a oko duże, czarne odbijało dziwnie od jasnej, różowej, nie spalonej słońcem lipcowem, cery. Nosek regularny zdobił tę twarz prawdziwie anielskiej dziewiczości, a usteczka drobne, malinowe, świeże, dodawały postaci całej wdzięku i nieokreślonego powabu.

Nasze zakłopotanie i nieśmiałość lat dziewiętnastu, doszło do kulminacyjnego punktu. Obaj zawstydzeni, zarumienieni, powiedzieliśmy jej, kto jesteśmy, a ja najniezgrabniej w świecie przepraszałem nieznajomą, kłamiąc, że przypadkiem tu się zapędziliśmy. Mówiąc to czułem się tak śmiesznym, że czekałem tylko, kiedy urocza Dyana w nos mi się roześmieje, ale jakież było moje, a zapewne i jej zdziwienie, gdy nagle parsknął śmiechem Stefan, którego żywa i wesoła natura nie mogła dać sobie inaczej rady i wybuchem nad siłę wstrzymywanego śmiechu zmieniła od razu sytuacyę. W ślad bowiem za Stefanem, roześmialiśmy się także, a śmiech Dyany dźwięczał jak jakiś melodyjny pasaż, wygrany białymi jak perły ząbkami.

„Tak wesołego spotkania nie miałam jeszcze nigdy — zawołała żywo nadobna łowczyni — ciotkę pańską poznałam tej zimy w Nicei — dodała, zwracając się do mnie. — Zechciejcie panowie uważać staw ten za swój własny i polować na nim, kiedy się wam podoba."

„Nie będziemy śmieli tego zrobić nigdy więcej — odparłem już śmiało — a w każdym razie nie prędzej, aż nam pani pozwoli przeprosić się w jej własnym domu za nasze dzisiejsze natręctwo."

„Powiem panom szczerze, — odpowiedziała uprzejmie właścicielka Woronnego — że uciekłam tu na kilka miesięcy z gwaru i nudów wielkiego świata, by nie widzieć ludzi, odpocząć i oddać się mej jedynej rozrywce: polowaniu; spotkanie jednak z panami było tak wesołe i oryginalne, że zrobię dla nich wyjątek i oświadczam im, że będą serdecznie w mym domu przyjęci — prócz tego, mam nadzieję, że jako koledzy — myśliwi, zechcecie panowie czasem i ze mną zapolować — a teraz żegnam, bo ciotka z obiadem mnie oczekuje."

My podziękowaliśmy jej za uprzejmość, — ona podawszy nam rękę oddaliła się wiotkim krokiem, wołając na psa, który z naszymi już na dobrze się zaznajomił. Za chwilę płynęliśmy już ku domowi, omawiając szczegóły dzisiejszego, niespodziewanego wypadku.

O właścicielach Woronnego miałem bardzo niejasne wiadomości. Wiedziałem tylko, że ongi należało ono do hrabiego Jana Zapolskiego, ostatniego z swego rodu. Hrabia nie mieszkał nigdy w kraju. Wielki przyrodnik i myśliwy podróżował po wszystkich częściach świata, polując, zbierając trofea i o nic więcej nie dbając.

Woronne i kilka wiosek okolicznych — majątek wielki i intratny, nie wystarczał jednak na te kosztowne i z wielkiemi wygodami urządzane wycieczki. Piękny, od wieków w Zapolskich będący rękach klucz, miał już pójść na pastwę wierzycieli, gdy hrabia poznał w Paryżu niezmiernie bogatą Amerykankę, miss Mary Blythe i począł starania o jej rękę. Młody, inteligentny, przystojny, ujmującej powierzchowności gentleman, owładnął wkrótce sercem bogatej córy Nowego świata. Ślub odbył się w Nowym Yorku, a miss Blythe, jedynaczka, wniosła swemu szczęśliwemu małżonkowi dziesięć milionów. Wierzyciele zostali naturalnie spłaceni, a w Woronnem wzniósł się niebawem czarodziejską siłą miljonów, na miejscu starego niegdyś przeciw Tatarom obronnego zameczku, dumny z ciosów i marmurów pałac, mający jednak dziwne przeznaczenie stać wkrótce znów pustką mimo przepysznego wewnętrznego urządzenia i nagromadzonych tam cennych skarbów sztuki i myśliwskich trofeów.

Dwa lata mieszkali młodzi państwo w Woronnem, a cały ten czas był jednym ciągiem zabaw, świetnych przyjęć i polowań wszelkiego rodzaju. Dumny pałac stał otworem dla całej okolicy. Przyjeżdżali doń goście z całego kraju. Polowania urządzano par force na folblutach angielskich, w knieci zaś na wzór rotschildowskich, gdzie zwierzyna naumyślnie wprzód z zagranicy sprowadzana szła na pastwę strzałów.

Lata te dwa minęły prędko jak sen letniej nocy. Hrabina oczekując bliskiego rozwiązania, wyjechała z mężem do Paryża na to, by więcej nie wrócić. Niebawem powiła tam córkę, przypłaciwszy życiem macierzyństwo. Hrabia szalał w rozpaczy po stracie młodej małżonki, postawił jej wspaniały pomnik na cmentarzu Pére-Lachaise, odwiózł dziecko do Nowego Yorku i oddał w opiekę rodzinie nieboszczki, sam zaś wrócił do swej dawnej pasyi: podróży i polowań po całej kuli ziemskiej. W rok mniej więcej, po wyżej opisanych wypadkach, gazety smutną podały wiadomość: „W kraju Somalisów w Afryce niedaleko nadmorskiej osady Zejla, zginął tymi dniami, rozdarty przez rannego lwa znany podróżnik i myśliwy, hrabia Jan Zapolski. Służba przy nim obecna przewiozła zwłoki swego pana do Adenu, skąd do ojczyzny sprowadzone zostaną." — Telegram ten podany w dziennikach był o tyle mylnym, że ciało hrabiego z rozkazu władz angielskich w Adenie pochowano. Tak więc do Woronnego nawet szczątki właścicieli jego nie powróciły.

Tyle wiedziałem o Woronnem i jego właścicielach, wypadki zresztą tu dopiero opisane, działy się lat dwadzieścia przed rozpoczęciem mojego opowiadania, przed mojem więc urodzeniem. Wiem tylko tyle jeszcze, że o istnieniu małej sierotki zapomniano wkrótce, a majątkiem jej zaopiekował się sąd i dochody z niego składał w depozyt lub za Ocean wysyłał.

Na kamiennej grobli opuścił mnie Stefan, na którego konie tam czekały, ja zaś wróciwszy do domu postanowiłem wybadać ciotkę, co wie o mojej nowej

znajomej, o dzisiejszem jednak z nią spotkaniu na razie zamilczając. Przy obiedzie opowiadałem o naszem polowaniu. Wspominałem, że zapędziliśmy się, aż na staw Woronniecki, myśląc, że będziemy tam mogli bez przeszkody polować i że ze zdziwieniem spostrzegliśmy zdaleka oznaki bytności właściciela we dworze, jak koło pałacu kręcącą się służbę, ujeżdżane przez masztalerzy konie, wygrasowane i wysypane żwirem ścieżki w ogrodzie, pospuszczane w loggiach i werandach markizy. (C. d. n.)

KORESPONDENCYE.

Turówka, 6 września 1899.

Chociaż mimo długoletniej, wiernej i uczciwej służby w szeregach św. Huberta, nie dosłużyłem się rangi, której odznaką rogi jelenie, — może jednak i dla szeregowca, osiwiałego w boju, znajdzie się w *Łowcu* próżny skrawek, gdzieby mógł, choć w kilku nieudolnych słowach dać wyraz, świeżo doznanym, a bardzo miłym wrażeniom, odniesionym z łaski poczciwego kolegi.

Polowaliśmy wczoraj w Toustoługu u p. Zygmunta Mochnackiego, w gaiku 70 morgowym. — Było nas siedmiu; nie, przepraszam; sześciu. — Siódmy towarzysz był już bardzo blizko, ale, czy łagodniejsze jakie bóstwo przemogło Dyanę, czy typ nowego „kaspra“ nawinął mu się pod rękę, różne były domysły, dość, że do końca, tęsknie spoglądaliśmy w stronę, z której miał nadjechać, ale na próżno. Co zyskał tam — nie wiem; ale niech się dowie, co tu stracił i żeśmy za nim tęsknili.

Pod ciepłym, a przeważnie ulewnym deszczem, zabiliśmy: 2 rogacze, 5 lisów, 20 zajęcy, 1 kuropatwę, 1 sowę. — Gospodarz wprawdzie narzekał na rezultat, — bo chciałby, żeby każdemu z gości zabrakło nabojów, ale my, świadczę się towarzyszami, byliśmy bardzo zadowoleni. — Prawda, że rogacze i zające nie wszystkie były w domu, ale trudno im się dziwić. — Wprawdzie polowanie było i dla nas i dla nich, — role jednak tak odmienne, że podczas kiedy nam przyjemność strzelania osładzała wilgoć za kołnierzem, one z natury dbałe o futro, a w tym wypadku, chroniąc i skórę, wolały szukać suchego schronienia w pobliskim większym lesie baworowskim. — Ale za to lisy zasłużyły na szczególniej chlubne wspomnienie, — nie dlatego, że o tych których, już nie ma, tylko dobrze mówić się godzi, ale że w samej rzeczy imponowały — nie wiem, czy przywiązaniem do miejsca rodzinnego — czy posłuszeństwem dla gospodarza, który pozatykawszy im jamy, surowo zabronił wydalać się z lasu przed końcem polowania, choć ono niewesoły dla nich obrót wzięło. — Wiadomo przecie, jak mykita nie lubi poniewierać lisiury na deszczu, bo drugiej nie kupi, a tak ją pięknie odnowił pod jesień. — Tymczasem nicując ten gaik na wszystkie strony i powtarzając mioty w różnych kierunkach, dla słonek, które się wymykały — ciągle spotykaliśmy lisy, a ostatni strzał padł jeszcze do lisa.

Myśliwemu wystarcza i kawałek chleba, ale nie znany mi paragraf kodeksu myśliwskiego, któryby zabraniał po polowaniu dobrego obiadu i kajenny, a i w Toustoługu nic o nim nie wiedzą. — To też przy smacznym posiłku wysuszaliśmy skrzętnie omszone buteleczki, tak szlachetnych płynów, że pióro moje za słabe, by oddać wiernie wszystkie ich zalety. — Chętniebym je oddał w tym celu w ręce króla naszego polowania, którego nie strudzony humor i dowcip w ciągłej nas utrzymywały wesołości, co mu jednak nie przeszkadzało, podniebieniem znawcy analizować tych pysznych okazów, zrodzonych u podnóży francuskich zamków. — Onby godnie odmalował ten kolor aksamitny, oliwną gładkość, nie zwykły bukiet i smak przedziwny.

Plotek nie lubię popełniać, zwłaszcza drukowanych, trudno jednak zataić, że tak pięknych i równych ozimin, jak na łanach gospodarza, przez które przejeżdżaliśmy, nikt z drużyny myśliwskiej gdzieindziej nie widział, a z różnych byliśmy okolic. — Próbkę zaś sprężystości i ładu pana dziedzica i wójta, mieliśmy zaraz po powrocie z lasu. — Gdy siedząc na ganku z gazetami, przypatrywaliśmy rozkład, przywieziony właśnie na bardzo mądrze i ładnie urządzonym wozie, — usłyszeliśmy od strony wsi wołanie, „pali się.“ — Każdy chwycił kapelusz i biegliśmy przez dziedziniec ku wsi, dowiedzieć się coś dokładniejszego, — gdy naprzeciw nas, z gumna już wyjeżdżała dworska sikawka z trębaczem na koźle, nawołując mieszkańców do ratunku. — Szczęściem po chwili wróciła z dobrą wiadomością, że nic się nie stało.

Zdrowia dobrego niech Ci Bóg użyczy miły gospodarzu, za chwile rozkoszne; — a Ty, daj nam znów kiedy wstęp do uroczego gaiku i do tej zacisznej piwniczki, gdzie drzemią znajome nasze „francuzki,“ które niech będą pewne, że choć im zmarszczków przybędzie, tym nam będą cenniejsze. *B. R.*

Batiatycze, 8 października 1899.

Pojawiły się u nas niezmierne ilości myszy, które zjadają kartofle jeszcze nie kopane i niszczą oziminy. Okolica tutejsza jest zwykle uboga w jastrzębie — obecnie dużo się ich widzi i sów dużo po kartoflach siedzi — to może dziś jedyny dla nas od myszy ratunek, bo władze po dziś dzień nic nie zarządziły, a dwory same czyli tak zwani modnie „obszarnicy“ sami nie podołają, tem bardziej, że granicą z niwami chłopskiemi, których właściciele prócz wzdychania i skrobania się w głowę nic nie robią przeciwko tej klęsce, zostawiając ratunek Panu Bogu.

Pojawiło się także dużo piesków ziemnych, które także robią szkodę w kartoflach. Właśnie piszę pod wrażeniem wypadku, jaki miałem. Galopując po polu z char-

tem (dar przyjacielski) wpadłem do jamy chomików. Koń przewrócił się, a ja jako dawny ułan, zawdzięczam ratunek szkole 7go p. uł. Pieski miały loch podziemny pełen zboża i innych ingredyencyi. — Po rozkopaniu lochu zastaliśmy mnóstwo chomików — dziewięć padło pod ryskalami parobków, — kilka uciekło.

Mamy tego roku śliczny stan kuropartw, trzymają się w dużych stadach bardzo blisko domu — a wieczorami i rankami słyszy się formalną orkiestrę głosów wabiących się ptasząt.

Pierwsza słonka padła tu 2-go października — bardzo mało ich dotychczas się pokazało. Z każdym rokiem jest ich coraz mniej — dlaczego, opisali to już w „Łowcu“ doświadczeni myśliwi.

Tadeusz Romanowski, delegat żółkiewski.



Sprawy Towarzystwa.

Hr. Józef Potocki nadesłał Wydziałowi Towarzystwa 50 egzemplarzy swojego znakomitego dzieła p. t.:

„Notatki myśliwskie z Afryki“

celem rozsprzedania ich między członków Towarzystwa po zniżonej cenie i przeznaczył dochód z tej sprzedaży na cele Towarzystwa.

Najznakomitszy z polskich myśliwych i porywający pisarz łowiecki umożliwił swoim wspaniałym darem pięćdziesięciu członkom Towarzystwa naszego nabycie po bardzo przystępnej cenie swojego tak interesującego dzieła, ilustrowanego przez Piotra Stachiewicza i wydanego tak wspaniale, jak dotychczas żadne dzieło polskie.

Cenę tego dzieła oznaczył Zarząd na kwotę

12 zł.

(cena księgarska jak wiadomo, znacznie niższa od rzeczywistej wartości dzieła, wynosi **20 zł.**)

Należytość prosimy nadsyłać wraz z zamówieniem na przekazie pocztowym pod adresem gal. Towarzystwa łowieckiego we Lwowie — przesyłka dzieła nastąpi odwrotną pocztą. We Lwowie można zakupywać to dzieło u naszego Skarbnika p. Alfreda Dzikowskiego w jego składzie broni, przy ulicy Karola Ludwika L. 1.

Odezwa do pp. Delegatów i Członków Towarzystwa.

Zwracamy uwagę pp. Delegatów i Członków, że obecna pora częstych polowań i zjazdów nadaje się bardzo do zjednywania nowych członków dla Towarzystwa i prosimy bardzo, aby w tym czasie zechcieli o Towarzystwie pamiętać. Gdyby sobie każdy z pp. Delegatów i Członków postawił za zadanie pozyskać choć jednego nowego członka dla Towarzystwa, jakże pięknie mogłoby się ono rozwinąć! A przecież nie musi to stanowić takiej trudności, skoro tylu pp. Delegatów zdołało w zeszłym roku przysporzyć Towarzystwu po kilku, a niektórzy nawet po kilkunastu nowych członków. Zwracamy się więc z gorącą prośbą do wszystkich Szanownych naszych Członków, aby nadchodzącą piękną porę łowów i w tym kierunku wykorzystać raczyli, w tem przekonaniu, że rozszerzając wpływ Towarzystwa pracują nad podniesieniem łowiectwa w kraju.

Wydział.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**

Z drukarni „Słowa Polskiego" we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.